

Jack Ketchum i Lucky McKee
„Kobieta”
[fragment]

CZEŚĆ PIERWSZA. JEDEN

Kobieta nie zna pojęcia piękna.

Sama też nie jest urodziwa. Chyba że piękno sprowadza się do siły, a ona jest silna — ponad sześć stóp wzrostu, długie ramiona i nogi jak u małpy. Mimo to z jej dużych szarych oczu wyziera pustka, o ile akurat nie przypatruje się czemuś z uwagą, cerę ma bladą od braku światła, skórę paskudną, poznaczoną ukąszeniami pasożytów i owadów, śmierdzącą krwią jak sęp. Od jej pełnej prawej piersi do biodra biegnie szeroka, gładka blizna — przed jedenastoma laty śrut ze strzelby wyszarpnął jej kawał ciała. Nad lewym okiem, aż za ucho, rozciąga się druga szrama, zasługa kolejnego pocisku. Od tamtej pory w tym miejscu nie rośnie ani brew, ani włosy.

Wygląda, jakby poraził ją piorun.

Kobieta nie jest urodziwa i nie zna pojęcia piękna...

Już prawie świt — najmroczniejsza część doby za nią. Wylania się z gęstego lasu, całymi godzinami, może nawet dniami, przemierzała go skalistym, ubitym szlakiem, z gorączką buzującą we wnętrzu. Noc dogania dzień, dzień dogania noc. Zna dobrze wszystkie te ścieżki. W końcu plaża. O świcie to miejsce nie oferuje schronienia. Po drodze zatrzymywała się, nasłuchiwała, wracając raz po raz po śladach. Jest pewna, że nikt jej nie śledzi. Dali za wygraną.

Jeśli w ogóle śledzili ją w ciemnościach. A poruszała się tylko w mroku.

Jej rany to świadectwo szczęśliwego losu — lewy bok pokazuje dobitnie, że niewiele brakowało. Nóż i kula. Sierp księżycy i pełnia, ledwie kilka cali od siebie. Zakleiła rany błotem i mocno zacisnęła na nich pas. Smuga krwi nie pomoże nikomu tropić.

Mimo to potrzebuje leczenia.

Ból. Ból pulsuje w całym ciele, od ramion po kolana. Bije w ciało jak fale o brzeg. Lecz cierpienie trzeba znieść. To nic wielkiego w porównaniu z bólami porodu. Ból mówi tylko jedno.

Jest żywa.

Mimo to potrzebuje leczenia.

Mierzy wzrokiem skalisty brzeg i nagle dostrzega. Ten kształt i kolor. Żółtozielone, długie, płaskie liście z podmorskich lasów, wyrzucone na brzeg. Połyskują — mokre, żywe, zdrowe. Brnie w fale, chłodny pływ w tę i z powrotem omiata jej łydki.

Pchnięcie, szarpnięcie. Migotanie na falach. Wydatny odór morza, przeciągły smród śmierci. Linia brzegowa rodzi się i umiera.

Nie może oprzeć się temu wszystkiemu.

Morze zawsze było jej sprzymierzeńcem.

W ciche noce, kiedy fale nie były wysokie, słyszała jak świat oddycha.

Połuźnia pas, opuszcza na biodra, ostrożnie, by nie zgubić noża.

Kłęka i delikatnie obmywa rany z błota, krew spływa po przepasce biodrowej do wody. Kobieta wstaje, idzie w stronę brzegu. Schyla się i wygrzebuje liście spomiędzy skał, przemywa je z piasku i krabich skorup, przyciska do ran.

Szczypie. Takie właśnie jest morze.

Morze przepływa przez nią niczym trucizna, niczym dar. Z wolna ból przygasa. Zgarnia jeszcze więcej grubych jak skóra liści, myje je, po czym przyklada do boku. Zaciska pas wokół nich.

Idzie wzdłuż żwirowej plaży. Szuka jedzenia w utworzonych przez fale nadbrzeżnych basenach, patrzy w górę na urwiska w poszukiwaniu schronienia. Wkrótce znajduje to, co chciała. Niewielkie skupisko małż. Parę małych krabów. A jakieś czterdzieści stop wyżej, piętnaście jardów przed nią, wąska szczelina w granitowej powierzchni, ledwie widoczna, ukryta pod zasłonami torfowca — wejście do jaskini.

Rozgryza kraby i pochłania niemal w całości. Chwyta po dwie małże naraz, tłucze o skały, po czym koniuszkami palców wylamuje do końca muszle i z mlaskaniem wyjada środek.

Kiedy kończy, przecina plażę i wspina się na wąską ścieżkę wiodącą ku jaskini.

Zatrzymuje się jakieś dziesięć stóp od wejścia. Węszy. Wyjmuje nóż. Na ostrzu od poprzedniej nocy wciąż widnieją ślady ciemnobrązowych plam jej własnej krwi — pozostałość po nieoczekiwanej zdradzie ostatniego członka jej utraconej rodziny. Krowa dźgnął ją tuż powyżej biodra. I przyplacił to życiem.

Ale teraz czuje inne życie.

Znajome.

Mocz. Wilka. Zwierzę oznaczyło jaskinię. I to niedawno.

Dobrze wie, że wilki na ogół nie są wrogami. Większość ucieka przed człowiekiem, nie

ryzykując konfrontacji z tak nieprzewidywalnym przeciwnikiem. Tyle że wilki nie poszukują jaskiń, chyba że się oszczeniły, ale przecież okres rozrodczy dobiegł końca. Temu schronienie najwyraźniej było potrzebne. Kobieta stąpa miękko, przystaje, słucha. Podchodzi z nożem uniesionym na wysokości ramienia, chwyt ma pewny, czujny.

Ponownie przystaje, słysząc skrobanie łapą po skale. Wilk wstaje. Jest nie więcej niż dziesięć stóp od niej.

Kobieta słyszy warczenie. Ciche, agresywne.

Ten wilk jest wrogiem.

Potrafi go sobie wyobrazić. Pysk ma skierowany w jej stronę. Uszy uniesione. Na masywnym, wygiętym w łuk grzbiecie jeży się futro, długie łapy ugięte do skoku. Na jego potężnym pysku wargi zwinęły się w faldy, warczenie odsłoniło sześć ostrych siekaczy, służących do cięcia zdobyczy, a także dwa zakrzywione do wewnątrz kły, przeznaczone do rozszarpywania ofiar.

Napina mięśnie. Kobieta wyczuwa to w ciemności.

Wie, że wilk również ją czuje, że węszy za jej krwią na nożu.

Wnętrze jaskini, nagły, gwałtowny ruch, błysk żółtych ślepiów, szarobrazowe cielsko gna w jej stronę. Kobieta pochyla się na spotkanie tego pędu, tego nurkowania do jej gardła. Pochyla się do przodu, w bok, po czym płynnym łukiem sunie nożem w dół, aż wilk pada ociężale na grzbiet u wlotu jaskini, dociskając wbity w kark nóż i przebijając bezradnie łapami w powietrzu. Kobieta umacnia swoją przewagę — chwyta w obie dłonie rękojeść noża, szarpie barkami, plecami oraz przedramionami, przekraja umięśniony kark i kość zwierzęcia, aż po czaszkę. Wilk, niczym mały pies potraktowany kopniakiem, wydaje z siebie pojedynczy pisk, po czym umiera.

Kobieta ocenia swoją zdobycz.

Wilk jest stary. Ma białe włosy wokół pyska, oczu i podbródka. To samiec. Wielki. Jeleniowi sięgałby do grzbietu. Ma okaleczoną prawą przednią łapę. Wargi też pokrywają świeże blizny. Kobieta otwiera mu pysk. Podniebienie górne również poharatane. Wilk wpadł we wnyki i w jakiś sposób zębiskami wygryzł sobie drogę na wolność. Kobieta podziwia jego siłę i zajadłość. To wszystko wyjaśnia, czemu samotnie ukrył się w jaskini. Te rany, ten wiek.

Wilk nie ma rodziny.

Skaza w stadzie.

Kobieta odsuwa się, podchodzi i zagląda do wnętrza. W kilka chwil oczy przyzwyczajają się do mroku. Grota nie jest głęboka, zapewne cztery długości jej ciała. Ściany w części frontowej oraz tylnej zbiegają się na tyle, że z rozłożonymi rękami może dotknąć ich obu —

jedynie w środku jest szerzej. Sklepienie zaś znajduje na tyle wysoko, że bez problemu staje wyprostowana.

Ludzie nie używali tej jaskini. Nie ma żadnych odpadków ani śladów ognia. Rzadka rzecz. Nada się.

Chwyta wilka za przednie łapy i ciągnie do środka. Klęka nad raną na karku i zaczyna powoli pić. Do sucha.

W nieco ponad dwie godziny buduje na tyłach jaskini łóżko ze świeżych, miękkich gałęzi sosnowych. W ciągu kolejnej godziny zbiera odpowiednio dużo kory, suchych konarów, drewna wyrzuconego na brzeg oraz kamieni. Krzesze ogień, podsyca go korą oraz gałązkami, a następnie co jakiś czas dorzuca po trzy większe szczapy.

Pora na wilka.

Wyjmuje nóż z pochwy. Jutro trzeba będzie go naostrzyć, lecz na ten moment musi wystarczyć. Kobieta przewraca wilka na grzbiet i tnie w poprzek szyi, póki masywna głowa nie odpada od ciała. Potem odrąbuje stopy.

Włożywszy nóż pod skórę, sunie nim tak, by nie naruszyć mięsa, wycina pojedynczą linię od szyi do pachwiny i zakreśla niewielki okrąg wokół odbytu. Zdziera skórę z ramion — jej własne kończyny napinają się mocno — wyszarpuje ją z łap na przedzie, siada okrakiem na wilku, a następnie zrywa dalej: z grzbietu i klatki piersiowej, bioder i tylnych łap, aż wreszcie skóra zostaje oddzielona od ciała.

Nacina mięso pośrodku, od szyi po pachwinę, przerywając okrąg zakreślony wokół odbytu — staranne, płytkie cięcie, by nie rozerwać organów wewnętrznych. Rozdziela klatkę piersiową i sięga obiema rękami do wnętrza wilka, wyciągając skłębioną masę wnętrzości rozlewających się po podłożu.

Oddziela wątrobę, serce oraz nerki od reszty, odsuwa je na bok. Te organy upiecze natychmiast. Gdyby przyszło jej zaspokoić wielki głód lub nakarmić rodzinę, oczyściłaby i zjadła resztę wnętrzości, lecz teraz ma pod dostatkiem mięsa.

Podsyca płomienie.

Unosi skórę i rozwiesza do suszenia na występie skalnym. Jej rany pulsują.

Ostrzy zieloną, soczystą gałąź, nabija na nią wątrobę, serce oraz nerki, a następnie trzyma nisko nad ogniem, żeby je przysmażyć. Obraca rożen, po czym umieszcza na kamieniach, by teraz piekły się nieco wolniej.

Zostało wilcze ścierwo do oprawienia, ale ono może poczekać. Jej ciało bardzo potrzebuje jedzenia. Wilcza krew nie wystarczy.

Zgarnia wnętrzości i wyrzuca na zewnątrz, na żer kołujących, jazgoczących mew.

Później, o zmroku, leżąc na prowizorycznym łóżku i nasłuchując trzaskania płomieni oraz odległego dudnienia fal, czuje przenikliwe, niepokojące uczucie, którego nie jest w stanie sprecyzować. Może to ta jaskinia i wypełniająca ją pustka. Żadnych dźwięków — oprócz ognia i fal. Żadnej wrzawy rozbieganych dzieci. Żadnych odgłosów snu Pierwszego Zabranego czy Drugiej Zabranej. Ani pojękiwania Krowy.

Chociaż w jej świecie życie często przyspieszało, to ostatnie wydarzenia zaszły zbyt szybko. Dwie noce temu było ich jedenaścioro. Pierwszy Zabraný i Druga Zabrana, Krowa, Dziewczyna, Chłopiec z bielmem, Bliźniacy, Królik, Ziemiojad, Dziecko. Wszyscy razem w dużo większej jaskini, każdy ze swoim dobytkiem w wybranej części grotu, szukający odpadków, chodzący na polowania. Teraz została sama.

Sama, nie licząc wilczego ducha. Ale zwierzę dobrze umarło. Tak jak wkrótce ona. To nie jego duch ją niepokoi.

Poznała już, czym jest samotność.

Więc o co chodzi?

Z zewnątrz dobiega z góry świszczące pohukiwanie. Powtarza się raz po raz.

Sowa. Przysiadła gdzieś na gałęzi i nawołuje partnerkę.

Uderzenia fal tłumią głos ptaka.